№ 21.

Warszawa dnia 13/25 Maja R. 1867



NOWOSCI DOTYCZĄCYCH GOSPODARSTWA DOMOWEGO.

W Warszawie *kwartalnie* rs. 1 k. 50, na prowincji i w Cesarstwie *półrocznie* rs. 3 k. 75, Koperta *półrocznie* rs. 1
Prenumerować możn a na wszystkich stacjach pocztowych.

Korrespondencja z Paryża.

Mówiąc o wystawie niepodobna pominąć odczytów liierackich pana Emila Levasseur, które dopełnił w sali Sorbony w pośród mnóstwa słuchaczy.

Szanowny autor obrał przedmiot bardzo pochlebny dla narodu francuzkiego, stara się bowiem wykazać, że jakkolwiek Anglicy pierwsi urządzili wystawy powszechne, jednakże idea tego rodzaju po raz pierwszy zakiełkowała we Francyi i tylko wypadki polityczne przeszkodziły jéj urzeczywistnieniu. Wedle pana Levasseur w XV i XVIII wieku Francja była ojczyzną sztuk: w czasie tego dwuwiekowego okresu, prawie wszystkie ludy europejskie mówiły po francuzku, kształcąc się na dziełach w tym języku pisanych. Monarchowie zaś ze swéj strony dopomagali ludziom talentu, urodzonym we Francyi i płacili grube pieniądze, aby ich tylko sprowadzić do stolicy. Otóż w owym czasie po raz pierwszy urządzono w Paryżu publiczną wystawę sztuk pięknych, w roku 1673 w Palais-Royal: drugą w Luwrze w roku 1699, trzecią w roku 1727. W roku 1727 Jeneralny kontroler polecił, aby wystawa miała miejsce corocznie. Pierwsza rewolucja francuzka przerwała dalszy szereg podobnego rodzaju okazów, a nawet zamknięto akademję sztuk pięknych jako sprzeczną z dobrobytem narodowym. Od pierwszéj wystawy sztuk pięknych, to jest od roku 1737 aż do roku 1789 nie mogła mieć miejsca żadna wystawa przemysłowa, bo jeszcze praca spętaną była więzami monopolu, a skutkiem tego każde stowarzyszenie przemysłowe lub rzemieślnicze, z zazdrością poglądało na działanie kółek rywalizujących, które nawzajem strzegły starannie swych wynalazków, ulepszeń i rozmaitego rodzaju sekretów.

W owym perjodzie wszelkie stowarzyszenia po za obrębem cechów były zabronione, najznakomitszy wynalazek nie był otoczony żadną gwarancją, na korzyść autora swego, dlatego chroniono się pod opiekuńcze skrzydła tajemnicy co wszystko ma się rozumieć było bardzo sprzeczne z wymaganiami wystawy. Rewolucja francuzka pracę uczyniła wolną a zarazem zabezpieczyła prawa wynalazcy, a to za pośrednictwem patentów przyznających wyłączność użytku na oznaczoną liczbę lat. Od téj chwili wystawa przemysłowa stała się możliwą, i Franciszek Neufchateau ówczesny minister spraw wewnętrznych we Francji, poraz pierwszy dał hasło do zebrania tego rodzaju, po zawartym traktacie w *Campio-Formio* zwołując wystawców na pole marsowe w Paryżu. Wedle kalendarza republikańskiego ostatnie pięć dni w roku przeznaczone były na uroczystości narodowe do których programu nakazał Neufchateau dołączyć i wystawy. Nie wielka liczba wystawców, bo tylko 100 zebrało się na placu wystawy.

Fakt ten uważano wówczas za tak małoznaczny, że prezes Dyrektorjatu nie wspomniał nawet o nim w mowie wypowiedzianéj nazajutrz, a mającéj na celu wykazanie całéj wielkości nowego porządku. Za czasów cesarstwa, w czasie międzyaktów wielkiego dramatu wojennego, odbyło się kilka wystaw tak sztuki jakoteż i przemysłu. Najpamiętniejszą jest z miesiąca Września 1802, w tym bowiem czasie minister angielski Fox po zawartym pokoju w Amiens przybył do Paryża. Pokój panował nietylko na lądzie ale i na morzu, Francja z dumą i wdzięcznością wymawiała nazwisko Bonapartego, a krwawe sceny i dawne ograniczenia praw cywilnych zdawały się należeć do przykrych marzeń sennych, które zastąpiła rozkoszna rzeczywistość. Wystawa była świetna; Fox pilnie oglądał wyroby francuzkie, chwalił ich wykwintność i gust dobry, ale zarazem nie zaniedbał wykazać brak nader ważny, to jest brak zu-

pełny przedmiotów, posługujących do ogólnego użytku, któreby za przykładem wyrobów angielskich łączyły jednocześnie dwa ważne przymioty, to jest wykończenie i taniość. Chaptal poprowadził Foxa do warsztatu Thiers'a i tam pokazał mu koziki zwyczajne, sztuka po trzy *sous*; minister angielski rozjaśnił czoło, i obydwie kieszenie napełnił nożykami, a gdy następnie w zakładzie zegarmistrzowskim pokazano mu zegarek srebrny za 13 fr. wówczas powiedział otwarcie, że nabrał zupełnie inszego przekonania o przemyśle francuzkim aniżeli go miał początkowo. Fox miał zupełną słuszność. Smutny to stan kraju, który na wystawie okazuje same przedmioty zbytkowe, rozwój bowiem przemysłu w rzeczach ogólnego użytku dowodzi dobrobytu i bogactwa ogólnego.

W chwili powrotu Burbonów do Paryża, Francja spoczywała w letargu, wszystkie jéj siły żywotne wyczerpnięte potrzebowały wypoczynku i zebrania nowych zasobów. Dlatego epoka świetnych wystaw rozpoczyna się dopiero za czasów Ludwika Filipa, który otaczał je szczególną opieką, bo wspierając się głównie na mieszczaństwie potrzebował protegować handel. Panu Thiersowi znanemu opowiadaczowi dziejów konsulatu i Cesarstwa a ówcześnie ministrowi handlu, należy się zasługa wznowienia wystaw tak przemysłowych jako też i sztuk pięknych. Pierwsza miała miejsce w roku 1834 druga w roku 1839 a trzecia w roku 1844, czwarta zaś oznaczoną była na rok 1849. Następca pana Thiersa pan Buffet minister handlu, zwołując wystawców francuzkich na zapowiedziany popis wyraził się w rapporcie do izb handlowych:

„Zdaje mi się że byłoby rzeczą korzystną dla narodu francuzkiego, gdyby za pośrednictwem wystawy, poznał owoce prac inszych narodów, i stopień ich rozwoju przemysłowego. Współzawodnictwo tego rodzaju, korzystnie by oddziałało na wzajemny rozwój bogactwa". Pan Buffet miał zupełną słuszność, jednakżeż myśl ta była odrzuconą, bo lękano się współzawodnictwa fabrykantów obcych narodowości, jakoteż i niebezpiecznych następstw porównania.

Przemysłowa publiczność francuzka nie była jeszcze dojrzała do dzwignięcia tak wielkiéj idei, to też zastąpiła ją publiczność angielska, któréj kommissja wystawy w roku 1850 powołała wszystkie narody do okazania owoców swéj pracy. Czterdzieści rozmaitych narodów, i siedemnaście tysięcy wystawców zebrało się w pałacu kryształowym, gdzie pospieszyli również i zawstydzeni fabrykanci francuzcy.

Oto jest skrócona historja wystaw, którą przedstawiam wedle wykładu pana Levasseur, a opuszczając pole przemysłowe, przejdę na pole sztuki dramatycznéj z powodu nowéj komedyi pana Meurice pod tytułem: „Odrodzenie" napisanéj w pięciu aktach. Sztuka ta zwróciła na siebie ogólną uwagę wszystkich pism perjodycznych paryzkich, jako zjawisko niezwykłe w dzisiejszym czasie. Treść jéj bowiem jest moralną od początku do końca i podnoszącą, a nie poniżającą godność człowieka. Miłość pogardzona dziewiętnastoletniego młodzieńca artysty — poety imieniem Rajmunda wiedzie go do ostatnich krańców zapomnienia, bo aż tam, gdzie hańba jest nieodłącznym godłem przekraczających zakazane granice. Niewinna sprawczyni tego upadku Paulina, także artystka, ubolewa nad dawnym towarzyszem zabaw i rówiennikiem, którego miłość odrzuciła może zbyt szorstko, jako fantazją dziecinną. Rajmund przebiega szybko wszystkie szczeble wiodące do przepaści; majątek zmarnowany, a gdy wyczerpały się środki do wyzyskania nowych funduszów, młody człowiek w szale gry fałszuje wexel Pauliny na 15,000 franków, które przegrywa w przeciągu kilku godzin. Zrobił więc pierwszy krok w krainie hańby, przy którym człowiek najbardziéj zepsuty zostaje poruszony do głębi duszy, i ma chwile wewnętrznéj rozwagi od któréj zależy cała jego przyszłość. Trzy drogi stają przed nim otworem, albo brnąć daléj na polu spodlenia i stanąć w jawnéj walce ze społeczeństwem, albo podźwignąć się z moralnego upadku, lub skończyć samobójstwem. Moralność i religja dopuszczają tylko drogę poprawy, ale autor jest wszechwładnym panem figur przez siebie utworzonych i może z niemi postępować stosownie do swéj woli, pod warunkiem jednak zachowania, prawideł smaku, a co ważniejsza prawideł psychologicznych. W tym razie autor postanowił podzwignąć z upadku swojego bohatera. Rajmund przegrawszy fundusz wyzyskany ze sprzedaży sfałszowanego wekslu, truje się belladonną i ostatnie chwile swego życia postanawia spędzić obok téj, która go natchnęła miłością mającą tak fatalne następstwa. Wczesne udzielone środki zaradcze ocaliły młodego malarza, nad którym czuwa Paulina, a wzruszona jego położeniem i jego rozpaczą oddaje mu nareszcie to serce, które dotychczas było nieprzystępnem dla wszelkich uczuć tkliwszych. Wypadałoby może wnosić że małżeństwo łączy dwoje kochanków i zasłona spada ku ogólnemu zadowoleniu; nie tak jednakżeż kończy się sztuka, Paulina ma w domu prześliczną włoszkę — Rajmund prędko zapomina o dawnéj miłości, aby zakochać się szalenie w pięknéj młodéj i niewinnéj panience, ale go dręczy sumienie że postąpi niewdzięcznie względem Pauliny, która mu ocaliła honor i życie. Młoda artystka umie jednakżeż wznieść się aż do poświęcenia, każe milknąć swemu sercu, żeni dwoje kochanków, a sama szuka pociechy w sztuce i w rozpamiętywaniu szczęśliwych czasów.

Oto jest treść sztuki: nazwaliśmy ją moralną, bo ma na celu wskazanie przykładu poprawy i poświęcenia kiedy insi pisarze w upadku lub egoizmie szukają środka do zabawienia publiczności.

W akademji nauk pan Rambosson złożył bardzo ciekawy i pouczający rapport o wpływie pokarmów na moralne usposobienie człowieka. Po mozolnéj pracy i licznych doświadczeniach na osobie własnéj dokonywanych, doszedł sprawozdawca do następujących wniosków: że jedne pokarmy mają wyłączny wpływ na umysł, drugie na uczucie.

(d. c. n.)

DANIEL ROCK

POWIEŚĆ,

Z FRANCUZKIEGO

PRZEZ

ERKMANA CHATRIAN.

(Dalszy ciąg).

Rad jestem z was chłopaki, dodał ojciec po chwili milczenia... Dobre z was dzieci... wyrośliście na chlubę i radość moją. Gdyby mnie spotkać miało nieszczęście, pomnijcie żem wyrzekł te słowa: największa to pociecha, dla tych co pozostają na ziemi, skoro wiedzą że dopełnili powinności względem rodziców........ wszystko niczem jest w obec tego.

— Dla czego mówicie to ojcze? zagadnął Krystjan — alboż to nie jesteście pełni siły i zdrowia?

— Zapewne — zdrów jestem... Daniel Rock może jeszcze śmiało wyzwać w zapasy, trzech dzisiejszych młokosów. Ale ponieważ lat siedmdziesiąt cięży mi już na grzbiecie, myślę też że tak długo nie potrwa. Koniec końcem, ojciec wasz dziękuje Bogu że mu dał takich synów... może kiedyś przypomniecie to sobie.

Tak mówił ojciec Daniel głosem wzruszonym, a synowie słuchali bacznie. „Jak słodko przemawia dziś ojciec myśleli oba w duchu. Nigdy jeszcze tak do nas nie mówił.“

I oczy ich zabiegły łzami.

W tym lekkie stukanie dało się słyszeć w kuchni. Drzwi otworzyły się i weszła ustrojona Teresa. Czarne jéj włosy spadały w długich splotach na ramiona. Głowę otaczało piękne czółko, wyszyte w srebrne kwiaty. Miała na sobie spódniczkę jedwabną przerabianą w różnobarwny deseń, gorsecik zielony atłasowy obciskał udatną jéj kibić — na piersi spadał złoty łańcuch.

Ojciec Rock spojrzał z chlubą na córkę. Żaden szczegół ubrania, nie uszedł jego bacznego wzroku.

— Otóż to mi piękna góralka! — zawołał wyciągając ku niéj szerokie ręce, taką powinna być córka Daniela Rock kowala. Chodź tu Tereso — niechajże cię uścisnę.

Teresa przystąpiła nieśmiało: ojciec posadził ją przy sobie i patrzał na nią rozpromienionem okiem, a potem przemówił poważnie.

— Tereso — włożyłaś jak widzę, czółko nieboszki matki twojéj, złoty łańcuch babki Anny, a spódniczkę prababki Odilji... Dobrze, rad jestem z tego. Te dzielne niewiasty przekazały ci to wszystko, aby utrzymać sławę domu. Ilekroć przywdziejesz te stroje, myśl o nich i późniéj, że to były cnotliwe matrony, dobre matki, żony niezłomne w wierze. Staraj się też moje dziecko naśladować ich przykład.

— Tak ojcze — odrzekła Teresa, a rumieniec znikł nagle z lica dziewczyny.

— No uściskaj mnie — a teraz pośpieszajmy na mszą świętą już oto dzwonią po raz drugi.

Teresa uścisnęła starca, który z niepojętem wzruszeniem, przytulił ją do piersi. Po chwili powstał włożył na głowę trójgraniasty kapelusz, i wziąwszy córkę pod rękę wyszedł z nią z izby.

Krystjan z Kacprem pozamykali drzwi, okna domu i poszli niebawem drogą wiodącą do kościoła. Zaledwie uszli z pięćdziesiąt kroków, dziwny widok przedstawił się ich oczom.

Przed oberżą pod Łabędziem, najpierwszą w całéj wsi, stało ośmiu nieznajomych w zielonych mundurach, w czapeczkach płaskich ze srebrnym galonem, każdy z nich trzymał za uzdę dzielnego konia.

Nieznajomi rozmawiali na głos, co chwila wołali gospodarza. Wszyscy słudzy biegali jak oparzeni.

— Zaprowadzić konie do stajni.

— Cóż będzie na obiad?

— Spieszcie co żywo.

Znać że ci panowie mieli dostatkiem pieniędzy, rozkazywali bowiem jakby jacy książęta. Zdawało się też jakby szydzili sobie z tych, którzy stawali na drodze i patrzyli na nich z ciekawością.

— Patrzno Horacy na ten ogromny kornet.

— Ha — ta maleńka wcale niczego — rad jestem doprawdy z naszéj wycieczki.

Lud wiejski poglądał w milczeniu. Na szpiczaste bródki paniczów, na ich wymuskane wąsiki, na ich mundur a szczególniéj na piękne konie, które grzebały ziemię nogą i zwracając głowę, przez ramię zdawały się urągać małym wioskowym szkapkom.

— To jakiś sztab jeneralski — mówili wieśniacy do siebie.

— To strażniki celne, odpowiadali drudzy.

— Gdzie tam — to prawdziwi panowie margrafy czy landgrafy, mówią przecież tak głośno, dodawali inni.

Kiedy ojciec Daniel przeszedł z córką, wszyscy nieznajomi obrócili się, ciekawie poglądali zerkając oczyma i strojąc poważne miny.

Ale koścista postać ojca Daniela i siwe oczy starca, zdziwiły ich niemniéj, jak łabędzia szyja dziewczynki. Zdumienie ich tem było większe, iż stary kowal, który przerastał głową całe koło ciekawych, zatrzymał się także i mierzył ich badawczym wzrokiem. Nie uszły uwagi nieznajomych, zaciśnięte usta ojca Rock, jego nos zagięty jak dziób ptaka, oraz dwie grube szczęki, wystające jakby dwie pięści poniżéj ucha.

Jeden z paniczów mały, krępy, śniadéj cery, dosyć szeroki w barkach, sam jeden wytrzymał wzrok starca. Oczy obudwóch rzucały błyskawice.

Panicz ten trzymał w ręku harap rzemienny z gałką złotą, miał on czerwoną wstążeczkę, przeciągniętą przez dziurkę od guzika i nóż myśliwski oprawny w róg, zawieszony u pasa.

Ojciec Daniel dojrzał, że mu jakoś niedobrze z oczu patrzy.

Skoro synowie Daniela połączyli się z ojcem, wszyscy trzéj wstrzymali się chwilę, nim poszli dalszą

drogą. Ledwie że postąpili kilka kroków, jeden z nieznajomych zawołał:

— Prześliczna dziewczyna, daję słowo.

— Tak jest, ale stary, nie bardzo słodki — odparł drugi.

Ojciec Daniel obrażony w godności własnéj, obrócił głowę, w téj chwili jeden z paniczów wyjrzał przez okno, i wołał na głos:

Do stołu — żywo do stołu. Baranina z czosnkiem zastawiona!

I wszyscy pobiegli na wschody śpiewając i pogwizdując wesoło. Ściany gościnnéj izby, rozlegały się od okrzyków.

Daniel Rock skinął głową i szedł głęboko zadumany.

Dzwon kościelny zabrzmiał po trzeci raz, trzeba mu było przyspieszyć kroku, ażeby przez tłum przecisnąć się mógł do zwyczajnego miejsca. Gdy stary kowal wchodził w progi kościelne — poważny dźwięk organów, rozlegał się już pod sklepieniem, a głos organisty Wielanda panował w chórze nad innemi, jak trąba ostatecznego sądu. Ksiądz Niklaus stojąc u stóp ołtarza odpowiadał mu słabym głosem: lud nadbiegał tłumnie i przyklękał w kruchcie kościelnéj żegnając się wodą święconą.

Stary kowal przyklęknął z drugimi, powstał potem i przeciskając się przez tłumy poprowadził do ławki Teresę. Oblicze starca tak pogodne w poranku, smutne było teraz i zachmurzone. Przez cały ciąg nabożeństwa, myślał wciąż o nieznajomych z oberży pod łabędziem.

Mały brunet z bezczelnym wzrokiem z najeżonemi wąsami i zuchwałą postawą, więcéj od drugich, zwrócił uwagę starca. Zdawało się Danielowi że go ciągle widzi przed sobą. Krew kipiała mu w piersi, zbladł, i mimo brzmienia organów i świętości miejsca, gniew poruszał do głębi jego serce.

Teresa modliła się gorąco.

Po prawéj ręce w ławce kościelnéj siedział Ludwik obok starego młynarza. Młodzian tkliwem okiem poglądał na Teresę. Dzieweczka nie śmiała obrócić nań oczu, ale czuła jego obecność, i tem rzewniéj modliła się Bogu, za niego, za ojca i rodzinę.

Ksiądz Niklaus stłumionym głosem zaintonował *Ite missa est*, organy zabrzmiały i tłum zwrócił się niebawem ku drzwiom kościelnym.

Wybiła jedenasta na zegarze; przed końcem dnia, ważne wypadki, miały nastąpić we wsi.

VII.

Wieśniacy z Chevrchof, Spartzprod i innych wsi okolicznych, stali jeszcze przed kościołem rozmawiając z sąsiadami, kiedy nagle huk bębna zwrócił uwagę wszystkich.

Ojciec Rock, który właśnie wychodził z kościoła z Teresą, spostrzegł małego Hanza, w szafirowéj kurtce z czerwonym kołnierzem, bijącego w bęben co siły. Tłum cały zwrócił się ku niemu.

Daniel domyślił się że ten bęben miał związek z przybyciem nieznajomych do oberży. Przystąpił też za innymi do woźnego, ciekawy jakie posłyszy wieści.

Bęben umilkł a Hanz donośnym głosem wykrzyknął te słowa.

Pan Zacharjasz Piper — mer gminy Filzenburga, oznajmia członkom rady municypalnéj, jako odbędzie się nadzwyczajne posiedzenie dziś po mszy świętéj, w interesie obchodzącym całą gminę.

— Wyrzekłszy te słowa Hanz poszedł drogą przechylając się z boku na bok i uderzając w bębny, — tłum dzieci w pląsach towarzyszył mu ciągle.

Stary kowal rozkazał Krystjanowi odprowadzić Teresę, sam zaś wolnym krokiem udał się na radę municypalną.

Dom mera w Felzenburgu, obszerny i pięknie zbudowany był wzniesiony z ciosowego kamienia: proste schody prowadziły na pierwsze piętro, gdzie w obszernéj sali odbywała się rada. Sala ta wybielona wapnem, z podłogą sosnową, o czterech oknach zwielkim piecem kaflanym nie miała innych sprzętów, prócz okrągłego stołu, otoczonego stołkami: wśród tych odznaczało się wyższe krzesło z poręczami przeznaczone dla męża.

Ojciec Rock, w téj pustéj i obnażonéj sali, widział wierny obraz dzisiejszych czasów. On, który żył wspomnieniem feudalnych zamków gotyckich, pokrytych rzeźbą i malowaniem, w których żyli margrafy uzbrojeni od stóp do głowy, w orszaku domowników, paziów, błaznów i pachołków, wszelkiego rodzaju, nie mógł zrozumieć jakim sposobem prości jak on wieśniacy, w pilśniowych kapeluszach, i w szarych płóciennych kapotach mogli zarządzać całą gminą. Nie raz też kiedy Weperle, mały suchy i wyżółkły na twarzy odezwał się: „Co do mnie żądam tego i tego“. Kiedy gruby oberżysta Kalb, z czerwonym nosem, obwisłemi uszami, i wytrzyszczonymi oczyma, wyjąkał chrapowato: „Utrzymuję że należy tak a tak zrobić“. Kiedy Nachomi i inni członkowie rady kowale, cieśle, rolnicy od pługa, z chropawą ręką, z twarzą ogorzałą i pooraną w bruzdy, wołało na głos: „My tak chcemy“. Daniel nie pojmował ich zuchwalstwa, zdało mu się co chwila, że któryś z dawnych rycerzy — w chełmie z pióropuszem, i szablicą w ręku, wejdzie do sali, spojrzy pogardliwie na tych karłów, zebranych na radę, pod przewództwem Zacharjasza Piper — i na widok ich parsknie głośnym śmiechem, aż się zatrzęsą szyby.

I wyobrażał sobie w marzeniu, jak mały tkacz upadnie na kolana, jak oberżysta ukorzy się błagając o przebaczenie — jak mer oniemieje z przestrachu! Gdy stary Daniel wszedł na salę, członkowie rady byli już zebrani: jeden drugiego pytał:

— Powiedzcież mi kumie co się dzieje, poco nas tu wołano?

Nikt nie umiał odpowiedzieć na to — pan mer bowiem jeszcze nie przybył.

Daniel stojąc w progu, popatrzył zdaleka na stół, i na tych którzy go otaczali, potem przystąpił bliżéj, przechodząc uścisnął rękę starego druha Frantza Benedum, i usiadł niespokojny w końcu stołu naprzeciw krzesła, przygotowanego dla mera; światło z okien padało wprost na niego.

Było to zwykłe jego miejsce. Zawiesił trójgraniasty kapelusz na poręczy, a położył oba łokcie na stole, i szeroką ręką podparł zadumane czoło.

Z niechęcią i znużeniem przysłuchiwał się Daniel zdaniom ludzi bez znaczenia i władzy... patrzał na zebranie jak na śmieszną i godną litości komedją.

Słowa obecnych brzmiały mu koło ucha, jak brzęk natrętnych owadów lub szum liści na drzewie.

W dziesięć minut potem roztwarły się drzwi i głos jakiś z boku zawołał:

Otóż i pan mer!

Wtedy ojciec Daniel podniósł w górę wielką głowę, otworzył szeroko usta, ziewnął, i nieporuszywszy łokci ze stołu, spojrzał pogardliwie na pana Zacharjasza Piper, który wchodził do sali niepewnym krokiem.

Pan Zacharjasz miał na sobie frak czarny, białą kamizelkę — zegarek ze złotym łańcuszkiem i złote okulary na nosie. Był on niegdyś pisarzem woźnego w Sawernie, potem ożenił się z córką bogatego włościanina ze Steinbach, która wstydziła się swoich rodziców, i bądź co bądź chciała wyjść na panią. Pan Zacharjasz spodziewał się z czasem zostać sędzią pokoju, w téj nadziei, od pięciu lat pełnił gorliwie obowiązki mera, zapisywał własną ręką akta narodzin, ślubów i pogrzebów, i co parę tygodni odwiedzał w Sarburgu podprefekta, który niekiedy raczył zaprosić go na obiad.

Daniel Rock poglądał na Zacharjasza z niechęcią i pogardą. Zaklęsłe policzki, nos spiczasty, długi czarny frak, biała kamizelka i zegarek, słowem cała postać mera, dziwnie była wstretną staremu kowalowi. W każdem jego słowie dopatrywał niedorzeczności: mer ze swéj strony, wzajemną odpłacał mu niechęcią.

Gdy Zacharjasz Piper zasiadł w ksześle, wszyscy członkowie rady municypalnéj obrócili oczy ku niemu; sam nawet Daniel spojrzał na tę twarz długą i żółtą jak pargamin, w wyrazistem spojrzeniu jego, łatwo było wyczytać te słowa:

— Posłuchajmy co nam też powie, zapewne jakie nowe głupstwo.

Nastąpiła chwila milczenia.

Mer położył na stole wielką skórzaną tekę, wydobył z niéj papier, odchrząknął i baczny wzrok powiódł po zgromadzonych.

— Panowie — odezwał się na koniec — przynoszę wam nader pomyślną wiadomość z pod prefektury, wiadomość, która uszczęśliwi całą okolicę, która podwoi wartość naszych posiadłości, zapewni chleb dzieciom naszym, słowem przeistoczy do gruntu postać kraju. Musimy bowiem przyznać że okoliczne ludy, o jakie trzy wieki, wyprzedziły nas już w postępie. Żyjemy korzonkami i jarzyną, jak za czasów Yeri — Hanza lub Hugona Jednookiego! Iluż to policzyć między nami, którzy kupują mięso w jatkach więcéj niż trzy razy do roku?.. a jednak niedaleko nas w Lotaryngji i Alzacji, najubożsi nawet jadają kapustę z wędzonką co niedziela. My zaś marniejemy nędznie jak te rośliny, z których czerpiemy pokarm. Zachowaliśmy się — słusznie powiadał pan podprefekt, w ziemi gór naszych, jakby w cieplarni, wraz z przesądem, fanatyzmem i ciemnotą trzynastego wieku, nie zakosztowawszy owoców cywilizacji. Oto smutny obraz prawdy moi panowie... tak jest żyjemy zupełnie jak w cieplarni,.. opłakany stan a co gorsza mamy się za bardzo szczęśliwych.

Mer umilkł na chwilę, poruszony własną wymową członkowie rady Weberle, Kalk, Stenger, Benedum, spoglądali jeden na drugiego, zdumieni i upokorzeni na wieść że są tak nieszczęśliwi.

Mer prowadził rzecz daléj:

— Trzeba położyć koniec temu... rząd zwrócił na nas oczy, i rzekł nakoniec sam do siebie: „Ci nieszczęśliwi mieszkańcy Felzenburga, wśród ciemnych lasów swoich, żyją pogrążeni w ciemnocie i barbarzyństwie, należy ich oświecić. Otwierając koléj żelazną z Paryża do Strazburga, w interesie tego nędznego ludu, który błogosławić nas będzie w późne wieki“...

— Ale którędyż pójdzie owa droga żelazna? przerwał żywo ojciec Benedum, którędyż ona pójdzie? Czy w powietrzu — czyli pod ziemią — czy też przez pola nasze? Ja sam, jeśli ma iść przez moje pole — powiadam pierwszy: „Stój“! Jem mięso kiedy mi się podoba, i nie widzę powodu żebym poświęcał kęs ziemi własnéj na to, aby i drudzy mięso jedli.“

Głośna wrzawa powstała w zgromadzeniu. Wszyscy członkowie rady wołali jednomyślnie.

— Benedum dobrze mówi! nie damy ani piędzi naszéj ziemi pod koléj.

— I cóż to, zawołał oberżysta czerwony od gniewu — albo ja potrzebuję żeby sąsiad mój Hans albo Krysztow jadł wędzonkę? Bylebym ja miał ją co niedziela na objad, nie pytam się o drugich. Czyż nas mają odzierać dla dobra gminy?

Frantz Weberle jeszcze głośniéj krzyczał dla nadania sobie powagi — gdyż całe jego mienie składało się z dwóch morgów lichéj ziemi.

— Panowie radcy — panowie radcy — proszę was... pozwólcie mi dokończyć, zawołał mer, potem będzie czas na uwagi. Nikt nie myśli zabierać gwałtem pól waszych, przeciwnie, zapłacą wam potrójnie i poczwórnie ich wartość, zresztą wy sami naznaczycie cenę.

To zapewnienie uspokoiło w mgnieniu oka umysły; radcy zasiedli znów na miejscach, wielu bowiem zwróciło już ku drzwiom nie chcąc słuchać o drodze żelaznéj.

Frantz Benedum przypomniał sobie wtedy, że żyd Eljasz mógł zyskać wielkie summy na łączce którą mu sprzedał; zafrasował się tem bardzo, postanowił głosować za koleją żelazną, aby odbić stratę na pozostałéj ziemi.

— Tak jest panowie — ciągnął mer, podprefektura ma na celu szczęście... Abyście zrozumieli jak wielki pożytek przyniesie wam droga żelazna, trzeba wam wiedzieć że iść będzie pod górami, za pomocą tunelów, a po nad dolinami po mostach i groblach murowanych. Pociąg przebiegnie kilka mil na godzinę, jak mówił mi pan podprefekt. Szczególna jakaś machina obraca koła, tak że nie potrzeba już koni. Zresztą skoro tylko idzie — mniejsza o to co ją porusza.

Daniel Rock siedział ponury; zaciśnięte usta, i błyszczące oczy starca, świadczyły o stłumionym gnie-

wie, znać było że chciał mówić, lecz wstrzymywał się gwałtem.

— Posłuchajcież mnie jeszcze, ciągnął mer. Wyobraźmy sobie że koléj żelazna ukończona, że przechodzi pod wsią Erschwiller, że przecina górę Felzenburgską i wybiega na dolinę Sawerny w Alzacji. Dzięki Bogu nie brak nam pastwiska i lasów, ale dziś aby sprzedać bydlę, trzeba je prowadzić za góry drogą daleką i uciążliwą. Nim się dostanie do Paryża przechodząc z rąk do rąk, upłynie z jakie miesiąc, a bydlę wyschnie od głodu i niewygody. Co zaś o prowadzeniu drzewa do Paryża, któżby nawet pomyślał o tem? Sama wywózka więcéjby kosztowała, niżby nam przyszło ze sprzedaży. To też lasy nasze, główne bogactwo kraju, nie mają dziś żadnéj wartości.

Ale niechaj tylko stanie koléj żelazna, a za marną cenę, wywozić będziem nasze belki i deski ba! i całe nawet kloce, w ziarno zaś i bydło zaopatrzemy wszystkie miasta Francji, na pięćdziesiąt mil w koło. Zamiast gnić jak dziś wśród płodów bez wartości, które nie mogą znaleść kupców, spieniężymy każdy przedmiot, i będziemy bogaci!

Trzeba było widzieć naówczas, rozpromienione twarze radców municypalnych, nie krzyczeli już, nie oddychali prawie, słuchali tylko z wytrzyszczonemi oczyma. Możnaby porównać ich do szczurów, namyślających się jak wykopać tunel w serze — i zawczasu łykających już ślinkę.

Mer Zacharjasz widział z radością błogie skutki wymowy swojéj i myślał sam w sobie.

— Będę sędzią pokoju, jak mi Bóg miły. Projekt przejdzie jednomyślnie jak w Paryżu.

— A potem— dodał z zapałem—pomyślmy tylko o dowozie materjałów — o szeroko otwartem polu do pracy! Najlichszy robotnik, zarobi do trzech lub czterech franków na dzień, wszyscy znajdą zajęcie i kowal i cieśla i kołodziéj i mularz. Trzeba zaprawdę być ślepym, aby nie widzieć ile kraj na tem zyska.

Tak jest zawołał Frantz Benedum, zapłacą nam dobrze nasze ziemie, każdy przytem dostarczać może do budowy, cokolwiek sam zechce: żelazo, drzewo, kamienie, słowem wszystko. Tak, tak, rozumiem dobrze!

Liczne głosy przywtórzyły chórem młynarzowi.

— Tak! rozumiemy!. rozumiemy!.. Pan mer miał słuszność! — byliśmy wszyscy w błędzie.

I jedni poglądali na drugich, z wyrazem niepojętéj radości i podawali sobie ręce z rozrzewnieniem.

Zacharjasz Piper widząc to — zakończył mowę w ten sposób:

— Pojęliście panowie radcy, dogodności drogi żelaznéj. Otóż to są dobroczynne działania rządu. Błogosławmy go i chwalmy, ale nie dosyć na tem... potrzeba nam pomagać urzędnikom, których przysłano tu w tym celu—potrzeba ułatwiać im w pracy. Muszą pomierzyć naprzód wasze pola — wszelka szkoda będzie wam hojnie zapłaconą, sami ją oszacujecie... Pan podprefekt spodziewa się, że wszyscy uczciwi ludzie przyłożą chętnie rękę do téj pracy. Otóż i wszystko co wam powiedzieć miałem. Sądzę że nikt z was nie będzie tak wsteczny, tak przesiąkły staremi przesądami, aby nie miał pospieszyć w pomoc — tym prawdziwym dobroczyńcom naszym.

Tak zakończył rzecz pan mer, a potem zasiadł w krześle. Członkowie rady mówili między sobą.

— Mądry to człowiek ten pan Zacharjasz! jak on wybornie mówi!.. jak to jasne wszystko co powiedział! Trzebaby w saméj rzeczy być szalonym, aby nie chcieć sprzedawać ziemi, bydła i desek, dziesięć razy drożéj nad prawdziwą ich wartość.

Sam tylko Daniel Rock, siedział ponury i milczący, oblicze jego groźny przybrało wyraz.

— Skończyliśmy już panie merze? zapytał zwolna — kładąc na stole pięść mocno zaciśniętą.

— Tak jest panie Danielu Rock.

— A więc teraz na mnie koléj — posłuchajcie mnie wszyscy jak ja was słuchałem, cierpliwie bez przerywania— choć Bóg jeden wie jak mnie to ciężko kosztowało.

Powiódł oczyma w około stołu — i wyrzekł silnym głosem:

— Praojcowie nasi — zdobyli niegdyś owe góry, pod przewództwem naszych dawnych panów. Najdzielniejszych mianowali wodzami; zbudowali im warowne grody w Nidesk, w Felsenburgu, w Dagsbergu, w Haut-Barr — i na linji Wogezów. Przed nimi drżała z trwogi Bazylea i Moguncja, drżała Kolonja i Strasburg. Nie potrzeba im było kół toczących się bez koni, aby zstąpić na pola Alzacji i Lotaryngji lub też na równinę Palatynatu. Spadali jak wicher na grzbiecie swych biegunów. A jednak ci ludzie karmili się jarzyną, i nie jadali mięsa chyba po wielkich łowach, lub też za powrotem z wielkich nadreńskich wypraw. Wówczas nie brakło mięsa, nie brakło też chęci do uczty. Wino i barany z Rikiewit i Baru, lepiéj zaprawdę smakowały rycerzom gdy sami zdobyli je łupem.

— Nigdyby tym ludziom nie przyszło na myśl, żeby przecinać góry, i prowadzić swoje drzewo i bydło do Paryża.

Pomyśleliby sobie: Jeśli mieszczuchy paryzcy potrzebują od nas mięsa i drzew, niech się poruszą sami, niech naładują trzosy i przybędą tu do nas. Co nam się kwapić dla nich i wozić im jadło jakby pisklętom do gniazda. Alboż to z Felzenburga do Paryża, nie ta sama droga, jak z Paryża do Felzenburga?

Nam wieśniakom niepotrzebne bite drogi, bo mamy w domu wszystko co potrzeba do życia i pracy. Wielkie gościńce wymyślone dla wygody tych, co nie orzą ani sieją, tylko bogacą się kosztem tych którzy sieją i orzą w pocie czoła. Któż nas przekona że ta wielka droga żelazna, co ma przecinać nasze pola, zabierać nasze ziarno, nasze bydło nasze deski i bale, a nawet ryby z rzek i zwierzynę z lasów naszych, za marną garść pieniędzy, któż nas mówię przekona że budowa jéj przedsięwzięta dla dobra naszego? Bylibyśmy bardzo ograniczeni, aby uwierzyć temu. Zaprawdę! jeśli ta droga przetnie kiedykolwiek te góry, zgubi nas jak Bóg Bogiem. Będziemy bogatsi w pieniądze, to prawda, ale w czem innem strasznie zubożejemy.

(d. c. n.)

RYS PODRÓŻY

PAŃSTWA BAKER PO AFRYCE ŚRODKOWEJ,

UWIEŃCZONEJ

NAJWAŻNIEJSZEM ODKRYCIEM GEOGRAFICZNEM TEGOCZESNEM, BO ODKRYCIEM

ŹRÓDEŁ NILU.

Pan Baker jest to bogaty Anglik a własne mienie powiększył jeszcze, posagiem żony młodéj i pięknéj Węgierki, którą poślubił w czasie swojego pobytu w Wiedniu. Wiele bardzo osób na jego miejscu oddałoby się słodkiemu próżniactwu, pan Baker jednakże zbadawszy swoje usposobienie i środki, któremi rozporządza postanowił poświęcić się podróżom, ale nie w celu porównywania kuchni międzynarodowych lub bezmyślnego zbijania bruku po Wiedniu, Paryżu i t. p. ale w celu roztrzygnienia ważniejszych zadań geograficznych, i rozszerzenie dotychczasowych granic naukowych. Wiadomą jest rzeczą, że pomimo wszelkich usiłowań dotychczas źródła Nilu nie były znanemi i że wszelkie wyprawy w tym celu odbywane spełzły bez skutku. Dwóch anglików mianowicie panowie Speke i Grant, śmiało wtargnęli w te krainy piasków i skwaru słonecznego z zupełną nadzieją najlepszego powodzenia. Lat jednakże kilka upłynęło, a żadna wieść o losie tych dwóch ludzi nie dobiegła do europejskiego świata, i dopiero w r. 1862 osoby powracające z Afryki zapewniły, że panowie Speke i Grant zatrzymani w więzieniu przez któregoś z królików afrykańskich, wedle wszelkiego prawdopodobieństwa skazani zostali na śmierć w czasie uroczystości religijnych. Upewnienia tego rodzaju zamiast zatrwożyć zapalają umysł pana Bakera chęcią odbycia podróży po Afryce, w zamiarze uwolnienia z niewoli lub pomszczenia śmierci dwóch swoich rodaków i znajomych, a zarazem dokonania dzieła przez nich rozpoczętego. Znając niebezpieczeństwo wyprawy, chciał żonę swoję zostawić pod opieką rodziny, ale młoda węgierka zgodzić się na to żadnym sposobem nie chciała i postanowiła razem z mężem wyruszyć w drogę.

Nie uprzedzając wypadków możemy jednakże powiedzieć, bo o tem wie już cały świat, że pan Baker dopiął zamierzonego celu i jest dzisiaj przesycony sławą i rozmaitego rodzaju nagrodami jakie pozyskał od rządów i towarzystw pojedynczych.

Historją swéj podróży skreślił w dziele dwutomowem wydanem w Londynie. Dzieło to zajęło mnie nadzwyczajnie tak opisem nieznanych okolic i ludów, jakoteż dramatycznością wypadków z wielkim talentem opowiedzianych.

Prócz walki z krajowcami pan Bakier musiał jeszcze zwalczać intrygi i zabiegi tureckich kupców i wiarołomstwo arabskiéj eskorty, która w brew wykonanéj przysiędze, usiłowała go zabić, lub też pozostawić samotnie w pustyniach afrykańskich.

Ciekawe to nadzwyczajnie fakta psychologiczne, owa walka jednego tylko człowieka przy pomocy żony, rozbrajającego kilkudziesięciu ludzi uzbrojonych i zmuszającego ich do ślepego posłuszeństwa w brew woli, podszeptów i intryg postronnych.

Podróż po Afryce środkowéj jest głównie dla tego niebezpieczną, że handlujący kością słoniową porywają przy téj sposobności murzynów, aby ich niegodnie sprzedać jako niewolników w Azyi lub Ameryce. Postępowanie tego rodzaju oburzyło do najwyższego stopnia krajowców, którzy bardzo często zbrojnie działają przeciwko wkraczającym w ich dziedziny europejczykom lub turkom, których w razie możności zabijają bez żadnéj litości. Potrzeba zatem było myśleć o należytéj obronie i w dniu 11 Czerwca 1862 roku pan Baker w Khartoum wynajął trzy statki, czterdziestu majtków, a oprócz tego jako eskortę zabrał ze sobą sześćdziesięciu ludzi uzbrojonych. Według zwyczaju przyjętego w takich razach, Baker wypłacił im z góry pensją za pięć miesięcy, układ spisano u urzędnika tureckiego, a oprócz tego zgodzeni ludzie wykonali przysięgę, iż dopełnią zaciągniętych obowiązków sumiennie nie wyrządzając najmniejszéj krzywdy murzynom, których w podróży napotkać będą mogli.

Khartoum był punktem centralnym dotychczas niewytępionego handlu niewolnikami, zazwyczaj jednakże kupcy zostawiają towar po za miastem aby nie narażać się na reklamacje państw europejskich. Energiczne przedstawienia konsulatu angielskiego rzuciły popłoch między czeredę frymarczącą ciałem ludzkiem i dlatego opuścili Khartoum jako więcéj na widoku będące, przenosząc się w inne strony, tak że konsul angielski pomimo wszelkich poszukiwań zatracił ich ślady. Pan Baker oddany wyłącznie wypełnieniu swego zadania przybył do Gondokoro, gdzie handlarze obrali główną stację po opuszczeniu Khartoum. Skoro więc dowiedzieli się o przybyciu Anglika, byli pewni że to ajent rządu wielkiéj Brytanji przybył wyśledzić nowe drogi jakiemi prowadzić będą niewolników, aby ich schwytać na gorącym uczynku. Pan Baker zatem znalazł groźnego nieprzyjaciela z téj właśnie strony, z któréj najmniéj się spodziewał. Handlujący niewolnikami pod pozorem skupowania kości słoniowéj, postanowili dołożyć wszelkich usiłowań, aby niedozwolić Anglikowi odbywania dalszéj podróży. Sumienia ich oddawna pozbawione wszelkiéj drażliwości nielękałyby się popełnić zbrodni, ale był to Anglik, a rząd wielkiéj Brytanji umie opiekować się swojemi poddanemi, kto wie zatem czy basza Egiptu dla przebłagania gniewu gabinetu londyńskiego, nie byłby zniewolonym wywieszać wszystkich handlujących kością słoniową, bez wyjątku. Dawali mu jednakże wielce znaczące przestrogi, strzelali naprzykład w ten sposób do celu, że kule przebiegały po nad głową Anglika, a nawet przedziurawiały kapelusz lub inne części ubrania. Pan Baker nie zważał zupełnie na takie drobnostki, skutkiem tego kupcy zmienili plan działania otacza-

jąc Anglika siecią intryg i buntując eskortę przez niego wynajętą. Na tem polu znaleźli powodzenie, bo w kilka dni po przybyciu do Gondokoro, ludzie z jego eskorty poczęli narzekać na brak pożywienia i objawiali zamiary porwania samowolnie bydła należącego do krajowców. Pan Baker zabronił im surowo uczynić coś podobnego co było hasłem do głośnych objawów zuchwalstwa i nieposłuszeństwa. Nieustraszony podróżnik rozkazał wyliczyć najkrzykliwszemu dwadzieścia pięć bizunów, a gdy kilku ludzi zabierało się do wypełnienia tego rozkazu, wówczas wybuchnął jawny bunt, który miał ten skutek że pod wpływem przestrachu, ludzie eskorty dotąd posłuszni postanowili opuścić swojego pryncypała, aby nie paść ofiarą sumiennego wypełnienia swoich obowiązków. Arabi porzucili strzelby na znak że opuszczają tego który im doręczył broń, pochwycili laski grube okute żelazem i z miną groźną poczęli otaczać p. Bakera, któremu zaledwie przed kilkoma dniami zaprzysięgli wierność i posłuszeństwo.

W tem zdarzeniu Baker jest nieporównany. Z miną władzcy, który ma dostateczną siłę do ukarania krnąbrnych, zbliża się do głównego naczelnika buntu, jednem uderzeniem obala go na ziemię, krwawi całego, bo krew rzuciła się mu ustami i nosem i uszami i zaczyna go wiązać powrozami. Była to chwila największego niebezpieczeństwa, bo Arabi pozbawieni wpływu spojrzenia, człowieka obdarzonego silną wolą, odzyskali odwagę i postanowili rzucić się na Anglika. Powstrzymała ich pani Baker, która przybywszy na plac bitwy, wydobyła dwa rewolwery i zawołała groźnym tonem:

— Ktokolwiek krok postąpi, roztrzaskaną mięć będzie czaszkę.

Anglik ostrzeżony głosem swéj małżonki, rzuca się jak lew ku zbuntowanym, dwoma uderzeniami kładzie trzech ludzi u stóp swoich, również jak i ich poprzednik ufarbowanych krwią a potem woła głosem piorunującym.

— Do szeregów natychmiast, bo inaczéj pogruchoczę wam kości wszystkim.

Wola i siła mają wpływ czarodziejski, trzydziestu ludzi z eskorty bezwiednie prawie, stają się posłusznemi, a reszta upartszych usuwa się na bok przynosząc pomoc ciężko zranionym kolegom. Dla utrzymania powagi i należytego wpływu, wypadało ukarać nieposłuszną eskortę, ale była to rzecz nie tak łatwa do wykonania, bo najmniejsza kara mogła na nowo rozbudzić ducha oporu, który może nie tak łatwo dał by się pokonać. Pan Baker jednakże z dwojga złego wybierając, postanowia narazić się na największe niebezpieczeństwo, aby tylko odnieść zupełny tryumf i z zimną krwią przyspasabia się do obnażenia pleców Arabów, gdy tymczasem zacna jego małżonka powodując się jedynie dobrocią szlachetnego serca wypełnia czyn najbardziéj polityczny, bo błaga męża o przebaczenie winnym i przyrzeka ich imieniem bezwarunkowe posłuszeństwo w przyszłości. Pan Baker zanadto dobrze pojmował całą drażliwość swego położenia, aby nie miał korzystać z nadarzonéj sposobności zaniechania kary; udziela zatem bezwarunkową amnestję, a tłusty wół zabity przeznaczony na kolacją, ustala chwilową zgodę, chociaż daje wymowny dowód Anglikowi że nie wiele może liczyć na wierność i posłuszeństwo swéj załogi.

Pan Baker przez dni dwanaście zmuszonym był w Gondokoro oczekiwać karawany która miała nadejść z głębi Afryki, aby po złożeniu nabytego towaru, powrócić na nowo do okolic podzwrotnikowych. Nareszcie pewnego poranku głośne salwy, karabinowe i radosne okrzyki dają znak o nadejściu Mohamedda, w którego orszaku znajdowali się Speke i Grant żywi i cali, bo owa historja o uwięzieniu i śmierci była bajeczka utworzona na gruncie europejskim.

(d. c. n.)

DONIESIENIA.

W Redakcji Tygodnika Mód i w Księgarniach są do nabycia następujące powieści, wyszła nakładem tejże—Marja Teresa w Węgrzech powieść Historyczna przełożona przez Sewerynę Pruszakową.—Cena kop. 75. — Mrowin i Trock oryginalnie napisana przez Paulinę Wilkońską, — Pamiętniki młodej mężatki przekład Joanny Belejowskiej Rs. 1.

Listy i przesyłki pieniężne na sprawunki adresować prosimy: *Do J. K. Gregorowicza, ulica Żabia, Nr. 956 dom Krzemińskiego.*

Do dzisiejszego numeru dołącza się dodatek arkuszowy z drzeworytami.

w Drukarni K. Kowalewskiego — Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.

(Dodatek.)